

**Od autora:** Witam!

Jest to pierwsza część opowiadania, którego głównym bohaterem jest młody bokser. Chłopak dzięki wrodzonemu talentowi, pnie się po szczeblach sportowej kariery, zmierzając na sam jej szczyt, którym jest zdobycie tytułu mistrza świata. Zawodowy boks różni się jednak od amatorskiej jego odmiany. Ważne są tu znajomości, układy oraz umiejętność w odpowiednim czasie podjęcia odpowiedniej decyzji. Dobro, oraz zdrowie człowieka, są tu na samym końcu przegrywając z pieniędzem.

Czyli nic nowego, lecz niestety prawdziwego.

Mam nadzieję, że historia przypadnie do gustu.

---

Ostatnia Runda.

Dziesięć minut temu, wróciłem od swojego menadżera. Delikatnie mówiąc jestem zdenerwowany, a mniej delikatny wkurwiony i to mocno.

Przyczyna? Zablockowanie znacznej części honorarium za ostatnio stoczoną walkę.

Doskonale zdaje sobie sprawę, że mogłem rozegrać to w sposób niedający pola do snucia teorii spiskowych, wiem, lichy ze mnie aktor, ale żeby od razu blokować wypłatę? Poza tym do końca nie są mi w stanie niczego udowodnić.

Łatwo być jednak mądrym po fakcie. Jak to się mówi, „Mądry Polak po szkodzie”

Może jednak, dla konkretnego wyjaśnienia zaistniałej sytuacji, wszystko zacznę od początku.

Najmocniej wyteżywszy pamięć, nie jestem sobie w stanie przypomnieć nic sprzed szóstego roku życia. Wtedy właśnie poszedłem do zerówki. Wiadomo jak to w zerówce, trochę zabawy trochę nauki, ale za to znaczna część dnia spędzana z rówieśnikami i rówieśniczkami. Najbardziej jednak, z tamtego okresu zapamiętałem naszą panią od muzyki. Przychodziła trzy razy w tygodniu i wyjaśniała nam zasady działania poszczególnych instrumentów. Muzyka jak i instrumenty zupełnie mnie nie interesowały, za to na długie, zgrabne nogi naszej pani, mogłem się gapić godzinami. Ogólnie była to dziwna sytuacja, wiadomo w tym wieku nie mogłem odczuwać jakiegokolwiek pociągu względem płci przeciwnej, ale jakimś dziwnym trafem podobały mi się jej nogi. Zresztą akurat na tą część kobiecego ciała, zwracam uwagę w pierwszej kolejności po dziś dzień.

Szkoła podstawowa nie była już taką sielanką. Sama obecność starszych, dobrze znających się chłopaków, była elementem mocno wyostrajającym zmysły. Jednak pierwszy zatarg miałem w drugiej klasie.

Huberta znałem z widzenia. Byliśmy w tym samym roczniku szkolnym, lecz chodziliśmy do równoległych klas. Do tego mieszkał kilka ulic dalej. Był ode mnie trochę wyższy i znacznie cięższy. Tak naprawdę, miał sporą nadwagę.

Podobno obydwójce jego rodzice byli zapaśnikami, chłopak od najmłodszych lat, miał więc z tym sportem styczność. W pierwszej klasie zbytnio nie wariował, widocznie nie czując się jeszcze na tyle pewnie. Te-

raz jednak sytuacja uległa zmianie, tym bardziej, iż miał czterech dobrych kolegów z podwórka w starszych klasach. Hubert postanowił przywłaszczyć sobie jedną z moich figurek żołnierzy Star Wars. Nie był to oczywiście jego pierwszy wybryk. Notorycznie zabierał kolegom z klasy każdą rzecz jaka akurat mu się podobała.

Krótko mówiąc, w drugiej „C”, rósł mały terrorysta, usiłujący podporządkować sobie wszystkich dookoła. Podeszedł do mnie w towarzystwie dwóch swoich kolegów.

- Pokarz mi na chwilę żołnierzyka- zaczął rozmowę.

Nie podejrzewając go o złe intencje, dałem figurkę. Był to jeden z żołnierzy walczących po ciemnej stronie mocy. Dostałem go od wujka, który przyjechał do nas z Gdańska. W Warszawie nigdy nie widziałem w żadnym ze sklepów akurat tej figurki, a muszę przyznać, że bacznie śledziłem świeże dostawy towaru.

Obejrzał żołnierza, uśmiechnął się pod nosem i powiedział - Dobra dzięki- następnie odwrócił się i zaczął jakby nigdy nic odchodzić.

Na początku trochę mnie zamurowało, po chwili jednak podbiegłem do niego - Ale ja ci go nie daję, chciałeś tylko zobaczyć!

- Weź spieprzaj albo dostaniesz w nos! - Usłyszałem.

Złapałem go za rękę chcąc z niej wyrwać swoją własność, wtedy odepchnął mnie. Następnie, podał zabawkę swojemu koledze, ruszając całym impetem swojej wagi w moim kierunku. Chwycił mnie, po chwili przyciskając do ściany.

Mocno, naprawdę mocno wyprowadziło mnie to z równowagi. Zacząłem całą mocą sił, wrywać się z jego chwytu. Udało mi się to kilka sekund później. Stojąc swobodnie, zadałem swemu rywalowi trzy ciosy. Jeden prawy prosty i dwa sierpy, odpowiednio z lewej i prawej ręki. Hubert nieco zamroczony, a na pewno zaskoczony niekorzystnym obrotem spraw, wylądował na tyłku. Był w szoku, tak samo jak jego dwaj koledzy z niedowierzaniem wpatrujący się we mnie. Nie tracąc więcej czasu, podeszedłem do jednego z nich, wyrwałem mu swoją własność, najnormalniej w świecie odchodząc.

Cała akcja trwała nie dłużej niż dwie minuty. Kilu chłopaków, jak i dziewczyn z klasy zdążyło ją jednak zauważyć.

Hubert nie mógł pozwolić sobie na taki blamaż. Dlatego na następnej, akurat długiej przerwie, podeszedł do mnie z dwoma swymi kumplami z szóstej klasy.

Dla pewności żołnierz był już ukryty głęboko w plecaku. Im jednak chodziło o oklepanie (pobicie) mnie.

Chcieli abym zszedł na dół do szatni, co też uczyniłem. To właśnie na końcu długiego korytarza po obydwóch stronach, którego znajdowały się szatnie przypisane poszczególnym klasom, znajdowało się miejsce wyjaśniania sporów oraz nieporozumień szkolnych.

Pierwszy ruszył na mnie blondyn. Doskonale wiedziałem, co będzie grane, dlatego nie zaskoczyły mnie chaotycznie wyprowadzane przez niego serie ciosów. Fakt był ode mnie dużo wyższy, cięższy, ostatecznie był starszy, ale żadnym z tych uderzeń nie był w stanie mnie trafić. Unikałem ich z ogromną łatwością, w pewnym momencie wyprowadzając lewy, a następnie prawy prosty. Gość sam się na nie nadział.

Po chwili szóstoklasista z rozbitym nosem, siedział na posadzce korytarza.

Teraz przyszła kolej na drugiego z oponentów. Rysiek nie był już tak pewny swego jak chociażby dwie minuty wcześniej. Dołożenie drugoklasiście, wydawało się czystą przyjemnością i przysługą względem młodszego kolegi. Po tym jednak czego był przed chwilą świadkiem, nie było to już jednak niczym pewnym.

Próbując wzbąć się na wyżyny swych fajterskich umiejętności, próbował wyprowadzić choć jeden celny cios, walcząc z pozoru w sposób bardziej uporządkowany od swego poprzednika. Efekt końcowy był jednak identycznie taki sam. Rozbity nos odebrał mu choćby najmniejszą iskierkę chęci kontynuowania pojedynku.

Hubert tylko spuścił głowę, nie mając odwagi spojrzeć mi w twarz. Tym razem głos zabrałem ja, tłumacząc mu w kilku zdaniach, by trzymał się ode mnie z daleka.

Pozornie wszystko wróciło do normy, jednak fama aby nie wchodzić mi w drogę, rozeszła się lotem błyskawicy. Następny pojedynek, tym razem z ósmoklasistą, stoczyłem za rok.

Mateusz uchodził za największego awanturnika w szkole, z klasy do klasy zdawał tylko i wyłącznie dzięki temu, że całe grono pedagogiczne z utęsknieniem czekało na dzień ukończenia przez niego ósmej klasy, a co za tym idzie, opuszczenia murów szkoły podstawowej.

Notoryczne wagary, kłótnie z nauczycielami, picie piwa oraz palenie papierosów na boisku szkolnym, uczyniły z niego autorytet dla przeszło połowy uczniów.

Poszło o piłkę do nogi. Akurat mój kolega Marcin, dostał na dzień dziecka zajebistą piłkę adidasa.

Bonzo fachowym okiem ocenił wartość piłki, jak i przeliczył ilość potencjalnej gotówki otrzymanej za jej sprzedanie. Po czym, wszedł na boisko, złapał piłkę, następnie zaczął z nią iść w stronę swych czterech stojących z puszkami piwa w rękę kolegów. Stały tam z nimi także trzy dziewczyny, w tym Jola uważana za najładniejszą dziewczynę w szkole. Mateusz liczył więc na kilku punktowy wzrost prestiżu.

Dziwi mnie dowartościowywanie się na kimś dużo młodszym i teoretycznie słabszym. Ale tak to już jest.

Negocjacje pierwszy zaczął właściciel piłki czyli Mateusz - Nie bądź taki...no weź... - zaczął jęczeć i stękać.

Od razu pewnym było, że nic z tego nie będzie. Usłyszał tylko - Spierdalaj gnoju! - Negocjacje uległy więc definitywnemu zakończeniu.

Uznałem, że jest to najlepszy moment na wkroczenie do akcji. Bez ceregieli stanąłem naprzeciw Mateusza. Patrząc mu w oczy, stanowczo zażądałem zwrotu piłki. Tylko się uśmiechnął. Nie wiem czy wiedział cokolwiek na mój temat. Jednak nie zamierzał ustępować.

Pięć minut później, obaj staliśmy przy parkanie kończącym teren szkolny. Było to drugie z miejsc, w którym wyjaśniane były wszelkie spory. Idealnie zasłonięte przez gęsto rosnące krzaki, pozostawało zupełnie niewidocznym dla całego pracującego w szkole grona pedagogicznego.

Mateusz umiał się bić, jedynym jego mankamentem była szybkość, a w zasadzie jej brak. Mimo, iż nie

zamierzał rezygnować ani odpuszczać, kilka minut później z solidnie obitą facjatą, nie mając pomysłu na wygranie ze mną walki z ogromną ulgą przyjął fakt nagłego wtargnięcia między nas pana od wychowania fizycznego.

Pan Andrzej w jakiś niewiadomy, przynajmniej dla mnie sposób, dowiedział się o naszym pojedynku, natychmiast przybywając na miejsce. O dziwo nie skończyliśmy u Dyrektora, nie dostaliśmy nawet uwagi, za to musieliśmy podać sobie ręce na zgodę. Od tamtej pory pan Andrzej patrzył na mnie z uznaniem, zawsze też miałem na najwyższą ocenę zaliczone wszystkie sprawdziany.

Z Mateuszem codziennie się witaliśmy, dzięki czemu zyskałem uznanie, tym razem wszystkich uczniów w szkole. Byłem dopiero w trzeciej klasie, a już doskonale znał mnie każdy z ósmoklasistów. Z czasów szkolnych pamiętam jeszcze jeden pojedynek, mianowicie z Feliksem. Dla odmiany Felek był rok ode mnie młodszy.

Przyczyna jak to zwykle była błaha, mianowicie kolejność stania w kolejce do sklepiku szkolnego. Po dziś dzień twierdzą, że to ja byłem pierwszy, tylko najzwyczajniej w świecie zagadałem się. Feliks natomiast jest zdania, że to on stał przede mną. Wszystko skończyła się w szatni na końcu korytarza.

Poruszenie było ogromne. W końcu biłem się ja, czyli mały obijający wszystkich bez względu na wiek oponentów. Tym razem tak nie było. Feliks był mojego wzrostu, mojej budowy ciała, warzyliśmy więc mniej więcej tyle samo. Od początku wiedziałem, że nie będzie łatwo. Przyjął pozycję bokserką, z bardzo szczelną gardą, a do tego bardzo dobrze poruszał się na nogach. Do tej pory, każdy z moich rywali nacierał na mnie, a po nadzieniu się na dwa, trzy ciosy, stawał jak słup soli, ja natomiast tłukłem w każdego w nich niczym w worek bokserki.

Feliks momentami był dla mnie nieuchwytny i gdyby nie to, że biliśmy się na małej przestrzeni, chyba bym poległ. Ale szatnia to nie ring, mając go przy ścianie zasypywałem kilkunastoma ciosami.

Skubaniec większości unikał lub je blokował, zawsze jednak coś tam się zdołało przedrzeć. Kiedy walka toczyła się w dystansie, punktował mnie niemiłosiernie. Na szczęście walkę przerwał lekcyjny dzwonek. Myślę, że obydwaj się z tego cieszyliśmy. Poszczególne wymiany kosztowały nas tyle siły i energii, że naprawdę ciężko było złapać oddech.

Obaj mieliśmy popodbijane oczy i rozbite wargi, podczas wbiegania po schodach na drugie piętro, podałyśmy sobie rękę na zgodę, stając się, jak czas pokazał, najlepszymi przyjaciółmi.

Umiejętności Feliksa wynikały z faktu czynnego uprawiania boks przez jego Tatę, a w każdej wolnej chwili jego trenera.

Pana Marka poznałem następnego dnia, kiedy czekał na swego syna pod szkołą. Bardzo chciał poznać chłopaka, który stawiał tak zacięty opór jego podopiecznemu.

Swoje umiejętności zawdzięczałem wielu godzinom spędzonym na naśladowaniu ruchów walczących pięściarzy.

Tak się składało, że mój Tata był teoretycznym fanatykiem boks. Nigdy go nie trenował, ale za to znał wszystkich liczących się pięściarzy w poszczególnych kategoriach wagowych. Posiadał także wiedzę na temat każdego z historycznych, jak również obecnych mistrzów. Wiedział kto z kim walczył, oraz gdzie

to miało miejsce. Każdą walkę nagrywał na wideo.

Ja natomiast codziennie każdą z nowych walk oglądałem, a następnie przez dwie godziny stojąc naprzeciw przynieszonego z przedpokoju lustra, naśladowałem ruchy poszczególnych pięściarzy. Uwielbiałem oglądać Oskara de la Hoyę, Feliksa Trinidada i Fernando Vargasa. To od nich zapożyczałem najwięcej charakterystycznych elementów techniki walki.

Jako samouk, nie mogłem jednak opanować wszystkiego, niemniej jednak spokojnie radziłem sobie z kimś niemającym na temat sztuk walki pojęcia. Tata Feliksa koniecznie chciał porozmawiać z moimi rodzicami.

Nie chodziło jednak o wyjaśnienie tematu bójki, a o wspólne treningi. Mój Tata zgodził się od razu, Mama natomiast bała się bym za bardzo nie obrywał po głowie. Pan Marek zapewnił ją, że w tym wieku głównym elementem treningu jest technika.

Od przyszłego tygodnia zacząłem regularnie, trzy razy w tygodniu chodzić na boks.

Podstawy poruszania się na nogach, prawidłowego zadawania ciosów, trzymania gardy, nauczyłem się w przeciągu dwóch miesięcy. Potem nastąpiły długie miesiące powtarzania poszczególnych kombinacji jak i szlifowania techniki.

Dwie godziny chodzenia do przodu, do tyłu w prawo w lewo. Za każdym razem musiałem prawidłowo stać na nogach i być gotowym do wyprowadzania ciosów. Oficjalnie zabronione mieliśmy jakiegokolwiek formy sparingów, ale nieoficjalnie umawialiśmy się z Feliksem u mnie lub u niego w domu (zależy kto miał wolną chatę). Zakładaliśmy kaski, rękawice i przez dobre kilkadziesiąt minut dawaliśmy z siebie wszystko. Z czasem dołączyło do nas jeszcze czterech starszych chłopaków. Zabawa była przednia, a zdobywane doświadczenie procentowało.

Pierwszy oficjalny klubowy sparing miałem w wieku czternastu lat. Oczywiście niezbędnym była zgoda rodziców. Załatwiłem to z Tatą, Mama nawet o niczym nie wiedziała.

Moim rywalem był Feliks. Stawiał zacięty opór, jednak po jego zakończeniu to ja czułem się zwycięzcą. Doskonale wyczuwałem dystans, do tego będąc piekielnie szybkim. Po prostu czułem ten moment, w którym muszę zadać rywalowi serię pięciu lub siedmiu ciosów. Zawsze dwa lub trzy z nich dochodziły.

Moim trenerem został Tomasz Kacykowski, były trener reprezentacji. Gdy tylko mnie zobaczył był zdania, że jestem diamentem, któremu należy nadać ostatni szlif. Od tej pory wszelkie sparingi odbywały się w klubie.

Skończywszy podstawówkę poszedłem do Liceum. Nie było tam może wysokiego poziomu nauczania, lecz kładziono bardzo duży nacisk na sport. Ja oczywiście uprawiałem boks, z tą tylko różnicą, że na treningi chodziłem teraz cztery razy w tygodniu. Do domu wracałem tylko po to, by najpierw coś zjeść, potem położyć się na dwie godziny spać, a na koniec odrobić lekcję, zjeść kolację i znów iść spać.

Pograć w swoje ulubione gry komputerowe mogłem tylko w piątek wieczorem, ewentualnie w sobotę, a to i tak jak nie zaplanowaliśmy sobie sparingów trwających zazwyczaj trzy godziny. Teraz sparowało nas piętnastu, czasami nawet dwudziestu, co dwie rundy zmienialiśmy się walcząc każdy z każdym, dlatego tak długo nam się schodziło.

Przychodząc do domu, nie pragnąłem niczego innego jak położyć się spać. A przecież trzeba było się jeszcze spotkać z kolegami z podwórka.

Kolejne dni, tygodnie, miesiące mijały mi nawet nie wiem kiedy. W szkole nie byłem orłem, ale średnia trzy osiemdziesiąt miałem zawsze. Nigdy też nie byłem zagrożony z żadnego przedmiotu.

Z czasów Liceum utkwiała mi w pamięci jedna sytuacja. Nasza szkoła mieściła się w bezpośredniej bliskości osiedla w całości zamieszkanego przez cyganów. Często więc zdarzało się, że kilku z nich stawało przy wyjściowej bramie, a następnie okradało szczególnie wychodzących licealistów. Brali wszystko. Co fajniejsze kurtki, buty, telefony komórkowe, nawet plecaki. Przez trzy lata jakoś zawsze tak się układało, że nigdy do mnie nie podeszli. Zazwyczaj kiedy moja klasa kończyła lekcje ich już nie było.

Nic nie może jednak wiecznie trwać. Nadszedł więc dzień, w którym trzech starszych o kilka lat chłopaków podeszło do nas z jasno sprecyzowanym przekazem opróżnienia kieszeni oraz plecaków.

Zawsze ze szkoły wracałem z Feliksem, tak samo było i tym razem. Nie było takiej opcji byśmy dali się skroić. Wyszliśmy przy tym z założenia, iż najlepszą obroną jest atak. Dziesięć sekund później, wszyscy trzech cyganie siedzieli na tyłkach z rozbitymi nosami i wyrazem zdziwienia na twarzy. Jakby nigdy nic, szybkim krokiem podeszliśmy do stojącego z dwoma plecakami w ręku ostatniego z nich. Nawet się nie ruszył, o odezwaniu nie wspominając. Oddał nam oba plecaki, uciekając przestraszonym wzrokiem w ziemię. Wzięliśmy je, odchodząc w stronę przystanku tramwajowego.

U mnie na klatce schodowej, sprawdziliśmy zawartość dwóch zdobycznych plecaków. Wzięliśmy je od ruchowo, pod wpływem impulsu w zgodzie z przysłowiem „sytuacja czyni złodzieja”.

Pierwszy wypchany był dwiema fajnymi oryginalnymi bejsbolowymi kurtkami i parą najnowszego modelu butów „Nike”.

Drugi skrywał piętnaście telefonów komórkowych i siedem czapek z logami drużyn NBA.

Byliśmy w szoku. Każdy z telefonów sprzedaliśmy po dwieście złotych za sztukę, czapkę po stówie, buty za dwie stowy, kurtki zostawiliśmy sobie. Plecaki były stare i zniszczone, więc Feliks wyrzucił je do śmietnika podczas drogi powrotnej do domu.

Obłowiliśmy się nieźle, w sumie zupełnie przez przypadek. Cyganie jednak nie odpuścili. Następnego dnia, czaili się na nas przy wyjściu ze szkoły, tym razem w liczbie dwudziestu chłopów. Nie było więc innej opcji jak opuszczenie terenu szkoły tylną, zawsze zamkniętą furtką. Podobna sytuacja miała miejsce jeszcze przez dwa kolejne dni.

Walnęliśmy (zabraliśmy) im pewnie wszystkie gadzety jakie tamtego, feralnego dla nich dnia zdołali sobie przywłaszczyć, krążąc w pobliżu kilku innych szkół. Czwartego dnia, ich zgromadzeniami pod bramą wyjściową, zainteresowała się dyrekcja szkoły.

Policjanci nie patyczkowali się z nimi. Wpadli piętnastoosobową, uzbrojoną w długie gumowe pałki ekipą, nie szczędząc im razów, wybili im z głowy zemstę za swych pobratymców. Zrobili to w trakcie trwania lekcji, do tego tak szybko i znenacka, że zanim ktokolwiek w czymkolwiek zorientował się, było już po wszystkim.

Od tamtej pory widziałem ich jeszcze może ze dwa razy, jednak w jakikolwiek sposób nie przejawiali zainteresowania moją osobą. Łatwo zdobyty pieniądz nie zaimponował mi na tyle, by snuć jakiegokolwiek plany zarabiania w ten właśnie sposób. Bardziej potraktowałem całe to zajście jako uśmiech losu. Trenowałem, podporządkowując cały dzień pod uprawianą z zapałem dyscyplinę sportową.

Ukończeniu osiemnastego roku życia, towarzyszyła możliwość występowania we wszelkiego rodzaju zawodach i turniejach bokserskich. Oczywiście do dwudziestego pierwszego roku życia jako junior. Na każdej mojej walce w pierwszym rzędzie trybun siedział Tata. Mama towarzyszyła mu tylko na pierwszych zawodach. Kosztowało ją to zbyt wiele nerwów, dlatego postanowiła nie oglądać moich walk.

Oczywiście bez problemów wygrałem turniej, odpowiadając kolejno trzech rywali. Wygrywałem wszystkie zawody w kraju, następnie Europie i w końcu na świecie. Byłem po prostu najlepszy. Nie lubiłem tylko walczyć z Rosjanami i Kubańczykami. Ci pierwsi byli niesamowicie twardzi, mocno przy tym bijąc, drudzy byli za to niesamowicie szybcy.

Po ukończeniu Liceum oraz zdanej maturze, poszedłem na studia zaoczne. Wybrałem kierunek AWF, oraz specjalizację trenerską.

Przy okazji podjęcia studiów, rozpadł się mój pierwszy związek. Z Agatą potykaliśmy się od półtora roku. Moja miłość trenowała lekką atletykę, niestety na jednym ze zgrupowań poznając kogoś, ja w tym czasie także kogoś poznałem, więc rozstaliśmy się bez zbędnych zgrzytów.

Naukę godziłem z treningami, czasami tylko musiałem zwalniać się z weekendowych zajęć, jadąc na mistrzostwa Polski, Europy, lub walcząc w jakimś dobrze obstawionym turnieju. Rok później, do grona juniorskiego dołączył Feliks. Radził sobie doskonale, jednak to ja uważany byłem za talent jak i za wielką nadzieję polskiego boksu.       CDN.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

G.G, dodano 24.01.2015 20:11

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).